**Królowa goryczy**

Pseudonim: Marmat

Typ szkoły: Liceum Ogólnokształcące

 To co było, to co jest, to co będzie. Niby trzy tak różne płaszczyzny, a jednak wiążą się ze sobą w niesamowity sposób. Dawniej tego nie dostrzegałam, a teraz wydaje się to oczywiste. Pewnie dlatego, że byłam zatwardziałą egoistką, która myślała tylko o własnym nieszczęściu, nie dostrzegając wszystkiego dookoła. Gdybym wtedy przejrzała na oczy, to wszystkim byłoby dziś lżej. I nie jest to w żadnym razie nie wyolbrzymienie. Ja jestem winna upadkowi Ziemi, całe to zniszczenie jest moim dziełem. Nawet Oni powstali przeze mnie. Ci, których nazywają Najeźdźcami noszą moją twarz…

 Dziś jest potworniejsze niż Wczoraj, więc jak mam patrzeć z nadzieją w Jutro? Nie pisane mi jest szczęśliwe zakończenie i wolę uprzedzić o tym już na początku. Życie napisało dla mnie tragiczną historię, ale to nic nie szkodzi. Byłam, jestem i pozostanę przykładem. To więcej niż mogłabym chcieć. To więcej niż dostaje większość. Wyróżnienie jakich mało, choć nie wiązało się z orderami, wiwatami i sławą. Przynajmniej nie pozytywną. Najgorsza jest jednak niepewność. Gdybym wiedziała, że mój przykład coś zmieni, nie wahałabym się dłużej, ale że pewności brak, więc oto jestem. Rozerwana między światłem i cieniem, tym co dobre, a co złe i nie potrafię wybrać. Od dziecka wydawało mi się, że ta granica jest wyraźna, że wychowano mnie na dobrą dziewczynkę. Tymczasem zło i dobro walczy codziennie w każdym z nas. Podczas każdej, choćby najmniejszej decyzji.

 Dla siebie czy dla kogoś? Za siebie czy za miliony?

 Ludzie są egoistami. Wiecznie wygrywa w nas „ja”.

 Jednak nie w tym rzecz i nie będę teraz moralizować całej ludzkości. To ja popełniłam błąd i przeze mnie zapanował mrok. Upadły szkoły i szpitale, sieć, elektryczność, łączność. Przeniosłam zaawansowaną cywilizację do średniowiecza i na nic zdały się wszystkie cudowne wynalazki geniuszów. Tak łatwo było zawładnąć światem. Wystarczyło tylko posłuchać tego cichutkiego głosu, który szeptał mi do ucha przez ramię. Ja, moje, mi, dla mnie.

 W tym ostatnim moim zrywie powiem: wam, jej, jemu, tobie. Szczególnie tobie, bo ty byłeś ze mną od początku. Nawet wtedy, gdy myślałam, że jestem sama. Byłam ślepa, ale teraz widzę i mogę oddać ci honor, wynagrodzić ci udrękę u mojego boku. Skoro ja musiałam stać się tą złą, to tobie przypiszę rolę bohatera. Nikt inny nie zasługuje na to miano tak bardzo jak ty, choć nigdy się do tego nie przyznasz. Uśmiechniesz się do mnie, otrzesz łzę z oka i szmatką przetrzesz okulary. Potem pociągniesz nosem, wzruszysz ramionami i oświadczysz, że daleko ci do księcia na białym koniu, a w srebrnej zbroi. Sama kiedyś bym tak o tobie powiedziała. O bezduszna, okrutna ja.

 Dziękuję ci. Dziękuję za wszystko i tobie dedykuję tę tragiczną historię.

 I jeśli nie ma dla mnie już nadziei, jeśli na nic się zda mój ostatni zryw… To robię to dla twojego Jutra. Zadbaj o nie i uczyń świat lepszym, bo jeśli ktoś może tego dokonać, to tylko ty.

~\*~

 Wszystko zaczęło się zimą 1992 roku. Wtedy właśnie, podczas okropnej śnieżycy w górach poznało się dwoje ludzi. Ona miała zielone oczy i włosy w płomiennym kolorze, a on śniadą karnację i przepiękny głos. Zakochali się w sobie od pierwszego wejrzenia, choć nie wiedzieli, jakie będzie to miało skutki w przyszłości. Owej zimy nawet nie przypuszczali, że pobiorą się i zamieszkawszy w domku jednorodzinnym na przedmieściach zdecydują się na dziecko. Tym bardziej nie myśleli już o tym, co nastąpić miało jeszcze później. Liczył się tylko sypiący wkoło śnieg i ich rozgrzane miłością ciała. Byli pewni, że to przeznaczenie, ale swojemu związkowi nie wróżyli długotrwałości. Zbyt różne mieli charaktery, zbyt wiele ich dzieliło. A jednak od dnia, w którym się poznali nic już nie mogło ich rozłączyć.

 Pobrali się dwa lata później, a w 1993 przyszła na świat ich córka. Oczy miała zielone, skórę śniadą, włosy popielate i piskliwy głosik. Nazwali ją Eliana. Dziecko stało się całym ich światem, więc postanowili podporządkować pod nie swój tryb życia. Wcześniej rozbijali się po świecie, żyjąc chwilą i nie martwiąc się o jutro, ale to miało się zmienić. Jeden dom, trwałe znajomości i jakieś perspektywy. Byle było bezpiecznie, byle ich córeczka miała szczęśliwe życie.

 Nieszczęście chciało, że nie zdołali tego zrobić we dwoje. Gdy Eliana osiągnęła wiek trzech lat, jej matka wylądowała w szpitalu. Mówiło się o wypadku samochodowym. Zrobiło się straszne zamieszanie, a na łożu śmierci pokiereszowana rudowłosa piękność wyszeptała coś na ucho swojemu ukochanemu. Musiały być to ważne słowa, gdyż wywarły ogromny wpływ na ojca Eliany. Od tamtego dnia aż do śmierci ukochanej chodził jak struty. Przedtem usilnie powtarzał, że nie pozwoli małżonce odejść na tamten świat, ale to się zmieniło. Zresztą jak wszystko. Zerwał kontakt ze znajomymi, wystawił ogłoszenie o sprzedaży domu, a niebawem po pogrzebie uciekł z córką na drugi koniec świata. Tam wykupił małe mieszkanko w kamienicy, w którym on i Eliana mieli spędzić spokojnie resztę życia.

 Na przełomie 2016 i 2017 roku Eliana zawładnęła światem za pomocą Najeźdźców. Postacie odziane w czarne wyszywane błyszczącą czerwona nicią szaty z kapturami zalały cały glob i rzuciły ludzkość na kolana przed swoją panią.

~\*~

 William westchnął ciężko i przyległ plecami do ściany budynku. Zapadał zmierzch, a on już dawno powinien być w domu. Przez swój pobyt w bibliotece stracił poczucie czasu, a tym samym naraził się na ogromne niebezpieczeństwo. Gdy cienie się wydłużały, Najeźdźcy wychodzili ze swoich kryjówek i okupowali ulice. Nikt nie był bezpieczny. Jednak William należał do tej nielicznej, ze względu na konsekwencje, grupy ludzi, którzy zapominali o niebezpieczeństwie i niepotrzebnie narażali swoje głowy na oddzielenie od barków.

 Było już ciemno, zimą zmierzch zapadał wcześniej, a do tego jeszcze wszędzie leżał śnieg po kolana. Najgorsze było jednak to, że ojciec Williama zapewne wychodził z siebie i wypłakiwał oczy, myśląc, że właśnie stracił syna. On zawsze bardzo się przejmował, ale tylko jeśli chodziło o jego rodzinę. Do całej reszty świata podchodził nader racjonalnie, tak jak przystało na prywatnego detektywa. Wszyscy dookoła nazywali go żartobliwie *Sherlockiem*. William szczególnie lubił to określenie, gdyż twórczość Conana Doyle’a należała do jego ulubionych, a jego ojciec rzeczywiście niezmiernie pasował mu na uosobienie postaci słynnego detektywa.

 Ostrożnie wychylił się zza węgła i cicho odetchnął z ulgą. Ulica była pusta. Naciągnął czapkę na uszy, a szalikiem zakrył sobie pół twarzy skutkiem czego widać było tylko kryjące się za okularami bystre oczy i ostrożnie ruszył przed siebie. Cicho brnął przez śnieg, uporczywie trzymając pod ramieniem książkę. Przy tym wszystkim miał nadzieję, że bezpiecznie dotrze do domu i jakimś cudem przeżyje kolejną wieczorną wędrówkę. Był świadom tego jak nierozsądnie się zachowuje i że niepotrzebnie naraża swoje życie, ale odkąd na świat spadła katastrofa pod postacią mrocznej władczyni Eliany, on za punkt honoru postawił sobie zrozumienie tego wszystkiego i przy okazji może uratowanie kogoś. Wszystko dlatego, że znał Elianę. Kiedyś chodzili do tej samej szkoły i dziewczyna nigdy nie okazywała… No cóż, mroczno-demonicznych zapędów. Myślisz, że kogoś znasz, a potem on przejmuje władzę nad światem. Cóż za… ironia. Do tej pory myślał, że podobne rzeczy zdarzają się tylko w książkach.

Wreszcie dotarł do drzwi swojego dwupiętrowego domu i trzykrotnie zapukał kołatką. Ledwie ostatni raz dotknęła drewna, a już na mróz wyjrzała twarz poczciwego detektywa. Z oczu mężczyzny biły pioruny, ale w ich kącikach widać jeszcze było łzy. William bez słowa wcisnął się do budynku, a jego ojciec ostrożnie zamknął drzwi. Pod najbliższą latarnią, która zresztą nie działała ze względu na odcięcie prądu, stała ciemna sylwetka odziana w płaszcz z kapturem. Czerwone nici zdawały się świecić, tak samo jak dwoje czerwonych oczu zerkających spod kaptura na dopiero co zamknięte drzwi.

- Czy ty jesteś skończonym idiotą? – spytał najspokojniej w świecie pan Hornigold, prawą dłonią rozmasowując sobie skronie.

- Zasiedziałem się w bibliotece – rzucił tylko William, okładając książkę na stojący w korytarzu stolik i zaczynając się rozbierać. – Przepraszam.

Chłopak odwiesił mokrą od śniegu kurtkę na wieszak, czapkę i szalik rzucił na najbliższy grzejnik, a buty porzucił na wycieraczce. Bez żadnego więcej słowa porwał przyniesioną książkę i udał się do salonu. Tam zajął miejsce w fotelu stojącym najbliżej kominka i otworzył wolumin.

Tymczasem jego rozdrażniony ojciec wydobył z kieszeni spodni papierosa i odpalił go od stojącej w korytarzu świeczki. W tamtej chwili był święcie przekonany, że to właśnie zamartwianie się o syna wpędzi go do grobu.

- Tylko tyle masz mi do powiedzenia? – spytał, stając w progu salonu i wpatrując się w tył fotelu, na którym siedział William.

- Jestem dorosły i nie muszę ci się tłumaczyć – bąknął chłopak, przerzucając kolejne strony. – Przecież mnie znasz. Niepotrzebnie się martwisz.

Detektyw westchnął ciężko i z rezygnacją zajął drugi fotel w pokoju. Wokół niego unosił papierosowy dym, którego zapach dawno już zdążył wsiąknąć we wszystkie ubrania Hornigolda. Założył nogę na nogę i mruknął coś pod nosem. Jego syn jednak nie przejął się tym wszystkim w najmniejszym stopniu, tylko wytrwale wertował kolejne strony woluminu, marszcząc się przy tym, szemrząc coś i czasami zasępiając się na dłuższą chwilę.

- Co było tak ważne, że postanowiłeś ryzykować życie? – odezwał się wreszcie detektyw, poddając się upartości syna.

Nauczył się już, że z Williamem nie da się wygrać. Odkąd chłopak przekroczył dwudziestkę coś w ich relacji się zmieniło. Nadal byli bardzo blisko i w sumie nic im nie można było zarzucić, ale uczeń powoli przerastał mistrza. Wdowcowi, którego pasją były zagadki kryminalne, a powodem dumy nieprzeciętny intelekt, ciężko było się pogodzić z faktem, że jego potomek jest lepszy. Wszystko dlatego, ze William poszedł w jego ślady. Był bardziej nieśmiały i wciąż brakowało mu pewności siebie, ale spryt i pociąg do niebezpieczeństwa z pewnością odziedziczył po ojcu. Tego właśnie pan Hornigold nie mógł sobie wybaczyć. Odnosił bowiem wrażenie, że dając dziecku w spadku takie geny tylko niepotrzebnie je naraża.

- To już lepsze pytanie – przyznał William i posłał ojcu rozczulający uśmiech. – Gdy tylko parę miesięcy temu zaczęła się cała ta afera… - zaczął powoli. – Od razu miałem wrażenie, jakbym oglądał ekranizację przeczytanej książki. To wszystko już kiedyś rozegrało się w mojej głowie, bo to przeczytałem. Tylko, że złą królową nie była wtedy moja przyjaciółka.

- Williamie… Prosiłem cię, żebyś sobie odpuścił – wyszeptał zrozpaczony ojciec, wbijając w Williama przerażone spojrzenie.

- Wiesz, że nie mogę. Stawką jest cały świat.

- Przecież wiem, że tobie chodzi tylko o dziewczynę.

Zapadła krępująca cisza, którą przerywało tylko trzaskanie ognia na kominku. Młodszy i starszy Hornigold mierzyli się wzrokiem przez dłuższą chwilę. To William odpuścił jako pierwszy. Z trzaskiem zamknął wolumin i podniósł się z fotela.

 - Idę spać – oznajmił i zniknął razem z książką.

 - To skończy się katastrofą – skwitował owdowiały detektyw i zaciągnął się papierosowym dymem.

~\*~

 Nawet za dnia szwendanie się po mieście było niebezpieczne. Will nie mógł być tego pewny, ale z listów i pogłosek wynikało, że taka sytuacja jest na całym świecie. Miasta pozmieniały się w ruiny, w których wracały standardy minionych epok. Lampy elektryczne zastąpiono gazowymi, wszelkie samochody dorożkami, szpitale zamknięto i jedynym ratunkiem dla chorych stali się wędrowni uzdrowiciele, bardziej szamani niż medycy. Cywilizacja cofała się w rozwoju, a wszystko to przez wściekłość jednej drobnej dziewczyny.

 William poprawił kołnierz i kaptur swojego płaszcza, próbując jakoś odciąć się od mrozu. Dookoła leżał tylko śnieg, po którym od czasu do czasu przemykały pojedyncze postaci. Wszyscy byli zastraszeni. On nie zamierzał biec, uciekać, przemykać się. Postawił sobie bowiem bardzo ryzykowny cel. Chciał się dostać do Niej. Nie było to zbyt rozsądne, a szansa że przedtem zostanie uśmiercony była niesłychanie wysoka, ale Will nie zamierzał rezygnować. Nie żeby uważał się za wielkiego herosa lub ewentualnego Wybawiciela. Jemu zależało tylko na przyjaciółce, z którą stało się coś złego. Przecież zawsze była taka cicha, miła i urocza. Związywała włosy w kucyk i rozsiadłszy się w jakimś kącie, czytała. Oczy płonęły jej wtedy tym przecudownym blaskiem, którego nie był w stanie opisać. No i jak ona się ślicznie rumieniła, gdy ją tak nagle zaczepić. Jej uśmiech był zawsze szczery, a skulona postawa budziła zaraz w człowieku potrzebę chronienia jej. I ktoś taki miałby teraz w garści trzymać cały świat? Trudno było w to uwierzyć.

 Nie był do końca świadomy swoich poczynań. To co robił było wielkim głupstwem i każdy mógł mu to powiedzieć. Jego ojciec chętnie mu o tym przypominał i nawet próbował go powstrzymać, ale na niewiele się to zdało. William szedł w zaparte i nie zamierzał się poddać. Panu Hornigoldowi pozostało tylko bezpiecznie odprowadzić syna jak najdalej się dało i życzyć mu szczęścia. Tak też stanęli obaj na obrzeżach miasta, gdzie znajdowała się niewielka stajnia. Dawniej miejsce to służyło głównie rekreacji, teraz odpowiadało w większości za transport w mieście i poza nim. William chciał wynająć konia. Na kupno nie było stać ani jego, ani jego ojca, więc postanowili użyć słowa „wypożyczyć”. Na szczęście właściciel stadniny zdążył się już przyzwyczaić do nowych warunków i o tego, że ludzie nadużywali jego zwierzaków.

 Chłopak dostał zimnokrwistego konia o kasztanowatej sierści i z białą plamką między oczyma. Zwierzak był potężny, a jego oddech zamieniony w biały obłok przywodził na myśl dym unoszący się z fabrycznych kominów. William uznał to za dobry znak, bo czekała go długa podróż w zimnie i drobniejszy rumak mógłby tego nie wytrzymać. Ten zdawał się całkiem zadowolony z panującej temperatury i już niecierpliwie poruszał grubymi jak pnie drzew nogami.

 - Nazywa się Bucefał i jest niezwykle wytrzymały – oznajmił właściciel i poklepał ogiera po szyi, na co ten odpowiedział cichym rżeniem.

Will był przerażony i podekscytowany.

 - Czy łatwo się płoszy? – spytał.

 - Nie. To najodważniejszy zwierzak na świecie. Gotów pójść nawet w ogień za jeźdźcem, którego polubi – stwierdził z dumą krępy człowieczek, który był jedyną nadzieją młodego Hornigolda.

Nie tak wyobrażał sobie William właściciela stadniny pełnej tak wspaniałych stworzeń jak konie. Niski, pulchny człowieczyna o dużym czerwonym nosie i maleńkich oczkach kłócił się z wizją atlety o siwym włosie i dodających powagi bokobrodach, który utarł się w umyśle chłopaka zapewne przez książki i telewizję. Tristan MacDougal był przebiegłym mężczyzną o dwóch charakterystycznych cechach. Pierwszą były czarne, tłuste włosy, które akurat schował pod ciepłą czapką, a drugą niekontrolowany przez niego odruch oblizywania ust. Will podsumowywał go w myślach jednym słowem. Odrażający.

 Na szczęście stajnia MacDougala prezentowała się o wiele bardziej przyzwoicie niż on sam. Miejsce to cieszyło się dobrą reputacją jeszcze przed przybyciem Najeźdźców. Teraz stała się po prostu bardziej popularna. Dlatego Will postanowił zawierzyć opinii Tristana dotyczącej konia, bo rzeczywiście zwierzak wyglądał na dumne, wytrzymałe i odważne stworzenie.

 Ojciec chłopaka był jednak innego zdania i cały czas nieprzyjaznym wzrokiem taksował MacDougala i jego konia. Syn był jego największym skarbem, to też powierzenie go nieznanemu zwierzakowi nieznanego mężczyzny nie wydawało mu się dobrym pomysłem. Niestety niewiele miał w tej kwestii do powiedzenia, a jedynym co mu pozostało było wyraźne wyrażanie swojej dezaprobaty. Choć ta była zbywana przez młodszego Hornigolda, to detektyw nie zamierzał się poddawać.

 - Wiesz że to idiotyczny pomysł? – pytał syna co chwila i kręcił głową, a płatki śniegu opadały na jego gniewnie zmarszczone brwi.

Mimo tych dąsów, około godziny dziesiątej William był gotów do drogi. Siedząc na potężnym koniu, ubrany w grubą kurtkę wyglądał niedorzecznie. Zwłaszcza jak na kogoś, kto jechał ocalić świat. Sam nie mógł uwierzyć w swoją głupotę, ale starał się tego nie okazać.

 - Na granicy miast będą czekali Strażnicy – oświadczył mu na uboczu ojciec. – Dalej też zapewne natkniesz się na jakieś patrole. Uważaj na siebie i wymyśl jakieś porządne kłamstwo, żeby cię przepuszczali.

W odpowiedzi otrzymał tylko niepewny uśmiech syna.

~\*~

 Strażnikom powiedział, że chce odwiedzić ciotkę mieszkającą na drugim krańcu kraju. Zapytany czemu akurat teraz, odparł że nie ma lepszego czasu niż ten poświąteczny na takie odwiedziny. Puścili go, ale jeszcze długo potem czuł spozierające na niego spod kapturów czerwone ślepia. Spojrzenie Najeźdźców wypalało w nim dziury, przeszywało chłodem i wywoływało dreszcze. Ponoć była to normalna reakcja.

 Rebelianci, których wszędzie było pełno, a którzy chcieli obalić Mroczną Królową, zastanawiali się często, co kryje się pod kapturami. Nie raz i nie dwa się o tym słyszało. W większości byli to młodzi ludzie, sprzeciwiający się brutalnemu wyrwaniu ze świata, do którego przywykli. Buntowali się też naukowcy, których możliwości naraz zostały ograniczone. Buntowali się tak naprawdę wszyscy, bo standard życia podupadał, królowała tyrania i nigdzie nie było sprawiedliwości. Nawet podlizać władzy się nie dało, bo groziło to utratą życia. Od dnia przejęcia władzy przez Elianę zapanował podział na ludzi i Najeźdźców. Jedni byli zwierzyną, a drudzy łowcami i tylko tyle było wiadomo. Umrzeć można było nawet za zbyt głośne oddychanie. Jednym słowem – koszmar.

Dlatego właśnie zaczęto się interesować osobami Najeźdźców. Smukłe sylwetki, czerwone oczy spozierające spod kapturów, czarne płaszcze w czerwone wzory. I to wszystko, nic więcej nie wiedziano, a ci którzy podjęli się ryzyka zajrzenia pod kaptury popadali w obłęd. Ich ostatnimi słowami było zawsze: „To ja jestem winny, ja jestem zgubą świata”. Właśnie nad tymi słowami rozmyślał William przez dłuższą część swojej drogi.

 Jazda była monotonna. Śnieg sypał w oczy, śnieg rozpryskiwał się na boki pod końskimi kopytami, śnieg okrywał cały krajobraz. Nastała okropna zima, która tym bardziej stała się dokuczliwą, że padły systemy ogrzewania zasilane elektrycznie. Will starał się nie narzekać, bo zawsze lubił tę porę roku, ale kiedy miało się do pokonania daleką drogę na grzbiecie konia, to w człowieku mimowolnie rosła nienawiść do śniegu, mrozu i samej zimy.

 - Jakby nie mogła wybrać sobie innej pory na podbój świata – mamrotał sam do siebie.

Nikt inny zresztą by go nie zrozumiał, bo gruby szal okalający twarz tłumił wypowiadane słowa. Ponad to nie miał kto słuchać. Tylko koń i jeździec na białym pustkowiu, a za nimi malejące miasto, które w końcu zniknęło z horyzontu.

 Will był obolały, zmarznięty i ogółem rzecz biorąc wykończony, gdy ujrzał majaczące w oddali czarne wieże. Po drodze zatrzymywał się już w kilku miastach i minął nie jeden patrol, ale nic do tej pory tak go nie uradowało i nie wystraszyło za razem jak ten widok. Był prawie u celu. Po tak wielu samotnych dniach, po nocowaniu w siodle, a czasem, jeśli dopisało mu szczęście, pod dachem obcych ludzi. Nigdy nie jedząc do syta, szczękając zębami z zimna, odmrażając sobie palce u stóp i rąk, powoli zaczynając wariować. Nawet na chwilę nie poczuł się bohaterem, którego miał zgrywać. On tylko jechał do wściekłej przyjaciółki, by z nią porozmawiać, a w razie potrzeby pocieszyć. Tylko tyle.

 Właśnie wtedy go zatrzymano. Dwie zakapturzone postacie na czarnych koniach o czerwonych ślepiach. Z nozdrzy zwierzaków i spod kapturów Najeźdźców buchała biała para, ale nie wyglądali na przemarzniętych. Zdawali się wręcz parować w tym lodowatym otoczeniu, a mimo odległości paru metrów William czuł bijące od nich ciepło. Bucefał też musiał je wyczuć, bo raźniej ruszył w stronę patrolujących okolicę postaci. Kochany, naiwny zwierzak. On też był przemarznięty, a na jego bokach zamarzał pot. Nie było co mu się dziwić. Poza tym młody Hornigold nie miał siły by protestować.

 Zatrzymali go i metalicznym głosem zażądali, by wytłumaczył im swoją obecność tak blisko pałacu. Wyszeptał, że zabłądził. Zaraz potem nieśmiało poprosił o pomoc. W odpowiedzi usłyszał potworny śmiech.

 - Czy mogę zobaczyć Królową? – spytał, opatulając się własnymi ramionami.

 - Nie.

Usłyszawszy to jedno słowo, zdołał tylko otworzyć usta, a potem zaniemógł i osunął się z konia w śnieg.

~\*~

 To nie był żaden podstęp ani sprytny plan. William najzwyczajniej w świecie nie myślał o tym, jak dostanie się do samego pałacu, gdy już się do niego zbliży. Wiedział tylko tyle, że musi się tam znaleźć. Miał książkę i miecz. Stary, zardzewiały kawałek metalu, który był pamiątką rodzinną z dawnych czasów. Przekazywany z ojca na syna. Ojciec kazał mu go zabrać, więc Will go zabrał, ale nawet przez myśl mu nie przeszło, by w tamtej chwili wyciągnąć kawał żelastwa.

 Obudził się w ciepłym łóżku i pomyślał, że właśnie trafił do nieba. Dopiero po chwili dotarło do niego, że wciąż jeszcze żyje. Wypełzł spod pierzyny i zauważył, że ma na sobie nowe ubranie. Było cieniutkie, ale niesamowicie grzało.

 - Magia – wyszeptał i naraz przypomniał sobie o książce, przez którą w ogóle tu przyjechał.

Leżała na stoliku obok łóżka wraz z mieczem. Tam też czekał ciepły posiłek. Bez pytania zabrał się do jedzenia, o które dopominał się jego żołądek. Nie obawiał się trucizny. Gdyby gospodarz chciał go zabić, to zrobiłby to podczas snu, zamiast trudzić się zatruwaniem dobrego jedzenia.

 Najadłszy się, Will przypiął miecz do pasa, który miał na sobie i wziął w dłonie księgę. Tak przyszykowany opuścił małe pomieszczenie. Do wyboru miał tylko jedne drzwi, a za nimi znajdował się jeden korytarz wiodący w jedną tylko stronę. Nawet nie było się nad czym zastanawiać. Może jedynie nad tym, jak tak szybko mógł powstać zamek, którego nigdy wcześniej nie było. Odpowiedź była jedna. Magia.

 Tak doszedł do potężnych drzwi wprawionych w zimny, czarny kamień. Były zrobione z białego drewna, a na ich powierzchni wymalowane złote emblematy przedstawiały orła w sidłach różanego krzewu. Ptak miał unieruchomione skrzydła, nogi i ogon. Tylko głowy nie dosięgnęły kolczaste pędy, więc orzeł otwierał dziób, jakby chciał wołać o pomoc. Williama wręcz zahipnotyzował ten obraz, który tak różnił się od reszty wnętrza. Jedyny element wykonany z jasnych części – drzwi. W takim razie powinny być nadzieją, pokrzepieniem, a wydawały się nawet straszniejsze od mroku nagich kamieni.

 Przy drzwiach stało dwoje Najeźdźców. Trzymali oparte na posadzce miecze, ale ich dłoni nie było widać. Zdobione rękojeści ginęły w rękawach postaci. Will uparcie się w nich wpatrywał, próbując jakkolwiek odciąć się od orła na drzwiach. Błądził spojrzeniem po niewzruszonych sylwetkach i czół jak ogarnia go strach, panika, chęć ucieczki. Nawet odwrócił się, pragnąc wrócić do małego pokoiku z łóżkiem, ale za swoimi plecami nie znalazł korytarza. Była tam tylko pusta ściana. Chłopak powoli przełknął ślinę i raz jeszcze zmierzył strażników wzrokiem. Teraz się poruszyli. Nieznacznie skierowali swoje ukryte pod kapturami oblicza w jego stronę.

 - Pokażcie mi swoje twarze – zażądał cicho, czując jakby te słowa wypowiadał ktoś inny.

Najeźdźcy ściągnęli kaptury, a Williama zmroziło. Cofnął się o kilka kroków, aż plecami natrafił na ścianę. Chłód, który go wtedy przeszył był ostrzejszy niż ten, który towarzyszył mu podczas podróży. Już wszystko rozumiał. Cały ten obłęd rebeliantów wysłanych, by spojrzeć pod kaptury. Takich rzeczy wolało się nie wiedzieć.

 Tymczasem Najeźdźcy z opuszczonymi kapturami otworzyli drzwi i wepchnęli za nie Williama. Ich dotyk parzył chłopaka, sprawiał mu fizyczny ból, więc krzyknął. Krótko, ale przeraźliwie, zamykający przy tym oczy. Gdy je otworzył strażników już nie było. Tylko Ona.

 Siedziała na czarnym tronie z litego kamienia. Cerę miała przeraźliwie bladą, usta krwisto czerwone, a zielone oczy zapadnięte. Popielate włosy ściągnięte w kok i wielkie czerwone kolczyki dodawały jej powagi. Była ubrana w granatową suknie o sporym dekolcie i wcięciu na nogę. Powoli podniosła się ze swojego siedziska i wolnym krokiem zbliżyła się do Williama, a on zrozumiał, że na nogach miała szpilki. Nigdy się tak nie ubierała. Zapamiętał ją jako dziewczynę z burzą włosów o hipnotyzujących zielonych oczach, wiecznie ubraną w luźne spodnie, kwiecistą bluzkę i czerwone trampki.

 - Eliana – wyszeptał i oblał się rumieńcem.

 - William – odparła, a jego przeszył dreszcz.

 - Co się stało? – spytał drżącym głosem.

Dziewczyna chwyciła go za przegub zimną dłonią i delikatnie pociągnęła za sobą. Szedł za nią posłusznie, nawet nie mając wyboru. Wiedział, czuł, że Eliana nie zrobi mu krzywdy, że to ona właśnie ocaliła mu życie i że wcale nie była Mroczna Królową. No i jeszcze to przyjemne ciepło, które rozlało się po jego ciele, gdy tylko dotknęła jego skóry. Nigdy w życiu nie doznał czegoś tak przyjemnego.

 Poprowadziła go pod ścianę, gdzie czekała sterta ciemnych poduszek. Gestem nakazała mu usiąść, a sama umościła się z głową na jego kolanach. Will na chwilę zdębiał i szeroko otwartymi oczyma wpatrywał się w dziewczynę, z której oczu spływały łzy, by po chwili wsiąknąć w materiał jego spodni. Tego akurat się nie spodziewał.

 - Wiem, po co przyszedłeś – załkała. – Zrób to szybko – poprosiła załamującym się głosem.

 - Szybko? – powtórzył, nic nie rozumiejąc. – Ja chciałem porozmawiać, pokazać ci coś. Znalazłem książkę…

Zerwała się z jego kolan i otarła łzy wierzchem dłoni. Jej twarz przybrała surowy wyraz, a w zielonych oczach błysnęła wściekłość.

 - Nie przyszedłeś mnie zabić? To po co? Niepotrzebne mi książki, mam wszystkie biblioteki świata! – żachnęła się. – Jestem Mroczną Królową, ty durniu! Czy nie wysłali cię, żebyś pod pozorem dawnej znajomości uwolnił świat od przekleństwa, jakim jestem? – krzyczała.

Chłopak nie potrafił nic zrobić, nic powiedzieć. Oblał się tylko rumieńcem, widząc jej wzburzenie. Nie chciał jej rozgniewać, a tymczasem to właśnie zrobił. I to dlatego, ze nie chciał jej zabić! Boże… Czego ona się spodziewała?

 - Chcę ci pomóc – wyszeptał. – Możesz wszystko naprawić.

Milczała.

 - Kocham cię.

Drgnęła.

 - Dlatego tu jestem.

Eliana zerwała się na nogi odwróciła do niego plecami. Powietrze dookoła niej zdawało się błyszczeć i migotać, a ona sama nabrała jakby blasku. William mógł tylko chłonąć ten widok i przyciskać do piersi książkę.

 - Tu jest napisane, że to magia – zaczął. – Jesteś czarownicą, ale to jeszcze nic złego. Nie wiedziałaś nawet, że masz taką moc. Potem coś musiało się stać, coś cię rozwścieczyło i… Obudziłaś w sobie moc, ale tę negatywną.

Przerwał, bo uniosła dłoń.

 Jej drobne ręce powoli gładziły suknię. Drżały.

 - Tamtego dnia dostałam liścik – wyszeptała. – Chodziło o chłopaka, który pracował w kwiaciarni. Był szalenie przystojny, podobał się wszystkim dziewczynom. A ja, jak wiesz, zawsze byłam trochę na uboczu. Tamtego dnia dostałam od niego liścik. Właśnie ja, a nie któraś z tych ślicznych, pustych dziewczyn. Tak ładnie się uśmiechnął, wręczając mi go. Czułam na sobie zazdrosne spojrzenia. Na tej kartce zapisane było miejsce, godzina, dzień. I dwa słowa. Kocham cię. Ucieszyłam się jak głupia, pobiegłam tam, czekałam. Cały czas wierzyłam, że to wszystko jest naprawdę. Miłość. A to był tylko podły żart. O umówionej porze nie przyszedł. Ja dalej czekałam z drżącym sercem. Potem pojawił się z całą swoją paczką. I z NIĄ. Obejmował ją, szeptał na ucho. Śmiała się. Też bym się śmiała. Podszedł do mnie, uśmiechnął się. „To był żart,” powiedział. „Kumple mówili, że się we mnie kochasz, chciałem sprawdzić.” Rozbawiło go moje przyjście. Nie pomyślał, że mogę być tak naiwna. Wtedy coś we mnie pękło, razem z sercem, które chciałam mu ofiarować. Jemu? Och, jaka byłam głupia! Na co liczyłam? Chciałam miłości czy akceptacji towarzystwa? A on zadrwił ze mnie. Narastał we mnie wstyd i gniew. Odpłacić mu pięknym za nadobne. Upokorzyć. Zniszczyć. Zemścić się. Usłyszałam cichy szept.. Zabij... To słowo wisiało niewypowiedziane w powietrzu. Wezbrały chmury, z nieba biły pioruny a z moich oczu płynęły łzy. Byłam wściekła, tak bardzo wściekła. Z tej wściekłości narodzili się Najeźdźcy. Nie wiem, w którym momencie, ani jak. Byli tam, gdy w myślach życzyłam mu najgorszego i spełnili moje niewypowiedziane życzenie, mój rozkaz. Wciąż pamiętam tę ładną buzię całą we krwi leżącą bez życia na chodnikowej kostce. I JEJ krzyk. Jakże mi się to spodobało. To było takie przyjemne. Zemsta. Tego właśnie pragnęłam. Zemsty na całym tym podłym świecie. A oni słuchali moich myśli i śpieszyli z ich spełnianiem. Ojciec próbował mnie powstrzymać… Wszystko mi wyjaśnił, wszystko wyznał. Mama ponoć przyznała mu się dopiero na łożu śmierci. „Jestem czarownicą, mam moc, dobrą moc. Nasza córka też ją ma. Lecz nie będzie miał kto jej nauczyć z niej korzystać. Chroń naszą córeczkę”. To ponoć jej słowa. Zabawne, nieprawdaż? Miałam dorastać jak normalne dziecko. Taki dar. To była ledwie sekunda, jedno uderzenie serca. Byłam na niego zła. Na niego i na mamę, a oni tylko czekali na podobną myśl… To wspomnienie tak bardzo boli, Williamie. Ja kochałam ojca, a oni zabili go dla mnie. Wszystko, co robili, było dla mnie. Wszystkie miasta, wszystkie mordy, całe to przejmowanie władzy. Świat miał dostać karę za moje nieszczęście. Wystraszyłam się wtedy i kazałam im przestać, więc oni tylko ściągnęli kaptury… - głos jej się urwał i zaczęła szlochać.

Serce słuchającego Williama waliło jak oszalałe. Nareszcie zaczynał wszystko pojmować. Tajemnica została do końca rozwikłana. Wystarczyło jej teraz powiedzieć o klątwie, że to nie jej wina, że musi tylko się sprzeciwić…

 - To nie twoja wina – wyszeptał nieśmiało i podniósł się z poduszek.

Bardzo wolnym krokiem zbliżył się do niej i przytulił ją. Elianą targnął szloch, więc odwróciła się nagle i skryła twarz, wtulając ją w jego ramię. Will mógł tylko stać i głaskać ją po plecach, szepcząc kojące słowa.

 - Książka mówi, że to wszystko wina zaklęcia. Twoja matka pragnęła cię bronić, więc rzuciła klątwę, która miała pozbawić cię mocy, zablokować twoją magię. Lecz taką klątwę mogą zerwać bardzo silne uczucia. To co pękło w tobie tamtego dnia, to były kajdany trzymające twoją moc – oznajmił spokojnym tonem. – Musisz tylko nad sobą zapanować. Stoczyć wewnętrzną walkę i pozwolić wygrać światłu.

Płacz ustał, drobne rączki dziewczyny pogładziły jego tors.

 - Masz rację – przyznała. – Ja jestem temu winna i ja to naprawię. Tylko… To będzie oznaczać wyrok śmierci – oznajmiła, unosząc twarz i spoglądając mu w oczy. – Najeźdźcy noszą moją twarz. Skrzywdziłam ludzi, nie wybaczą mi tego.

 - Najeźdźcy noszą twarz tego, kto na nich patrzy – zaprzeczył William. – Nawet moją.

Eliana zadrżała w jego ramionach. Potem wtuliła się w niego jeszcze mocniej, a powietrze wyraźnie zamigotało. Magia, działa się magia. Wszystko dookoła jaśniało, a mury zamku stawały się przeźroczyste. Mroczna Królowa toczyła wewnętrzną walkę, uwalniała z siebie siły, które miały powstrzymać Najeźdźców, zniszczyć ich.

~\*~

 Udało jej się, choć kosztowało ją to mnóstwo energii, choć słabła w oczach. William chciał jej pomóc, ale nie miał żadnej władzy i był tego boleśnie świadom. Zawsze był tego świadom. On wcale nic nie znaczył, nic nie mógł zrobić, on nie mógł być bohaterem. Jedyne na co było go stać to trzymanie jej w ramionach i tulenie.

 Po wszystkim osunęła się na poduszki i poprosiła o kartkę papieru i coś do pisania. Długo skrobała kolejne słowa, a na jej czoło występowały zmarszczki świadczące o zmęczeniu. Była taka słaba i delikatna. Jej sukienka pojaśniała, cera nabrała trochę koloru, szpilki zamieniły się w trampki, a włosy wystawały jej z koka na wszystkie strony. W tamtej chwili bardziej przypominała dawną siebie.

 - Will… - szepnęła na koniec. – Przytul mnie mocno – poprosiła, ściskając zapisana kartkę w dłoni.

Spełnił jej prośbę i tak trwali jakiś czas, wtulenie w siebie na pałacowych poduszkach. A wokół świat się zmieniał. Pałac zniknął. Zostali sami w szczerym polu zasypanym śniegiem i tylko Bucefał kręcił się nieopodal. W zasięgu wzroku nie było Najeźdźców. Zapanowała cisza. Eliana drżała z zimna w ramionach chłopaka.

 - Oni mnie zabiją, Will – wydusiła z siebie ostatkiem sił, ściskając w drżącej dłoni jego rękę.

 - Nieprawda. Ja cię obronię – obiecał.

Potem chwilę milczeli. Ona wpatrywała się przymrużonymi oczyma w horyzont, a on w nią. Czuł jak bardzo była słaba, jak wiele poświęciła. Dobro jest zawsze bardziej wymagające od zła, a ich walka do prostych nie należy. Co więc przeżyła Eliana, skoro taka walka stoczyła się w jej wnętrzu?

 - Musimy iść – wyszeptał przez łzy William, składając na jej czole delikatny pocałunek.

 - Jeszcze chwilka – poprosiła.

I zamknęła oczy.